

## Miłosz Waligórski

### SIEDEM SPOSOBÓW NA PUSTKĘ

#### 1. different trains

Belgrad. Październik.

Niebo jest wysokie, pełne powietrza, czuć spokojny oddech przestrzeni.

Ktoś wsiada do pociągu i jedzie przez Syrmię na północ.

Zachodzące słońce zostawia nad horyzontem sepiowy ślad

w tej samej gamie barw, co poświata lamp w budańskiej Király Fürdő

Wieczór przeciąga w poprzek welon mgieł.

Z tyłu przebija ogień. W rozproszeniu palą się ogniska.

Płoną ostatnie kopy siana, by zwolnić na zimę miejsce dla śniegu.

Pogorzelnisko po lecie, po dniu: łuna, tu i ówdzie skaczące ogniki.

Ziemia ścierpięta od snu na jednym boku czeka, aż jesienna orka przewróci ją na drugą stronę.

Impet wyobraźni rwie w górę.

Z lotu ptaka pola – rdzawe, zgniłozielone, spłowiałe –

przypominają obciążone zamazaniem klepki podłogowe, patchworkowe szmaty ziemi,

po których rozrzucono układy scalone miasteczek, elektrody domów, tranzystory spichrzy,

tak, by już nigdy nie dało się ich złożyć w działającą całość.

Ktoś opada na skajowe siedzenie. Oszłomiony spogląda za okno.

Wśród dymnych znaków końca lata, nad rzyskami majaczą miejskie obrazy. To miraż.

Raz są mętne, raz, na mgnienie, wyraźne. Nowy Sad wyprzedza

swoją obecność. Pociąg dopiero wpada w las.

Kamera oka wystrzeliwuje w przód, krąży nad światem, oddala się

i zbliża do ziemi jak na teleskopowym wysięgniku.

Mapa zmniejsza skalę.

Bulevar Vojvode Stepe. Niebieską „siódemką” wyjeżdżają Słowacy.

Wysiadają na rogatkach i dalej idą pieszo albo łapią stopa w kierunku Bački Palanki.

Ulica Braće Ribnikar.

W prowadzącym w głąb osiedla Grbavica przejściu między kamienicami na linii fasad stoją Węgrzy.

Kopcą papierosy, nerwowo rozmawiają przez komórki. Nie wychodzą z cienia. Na Jevrejskiej  
młodzi, nieopierzeni pod nosem, klną przy światłach. Nie chce przeskoczyć czerwone.  
Za nimi sklep z krzyczącym zielonym neonem: Zdrowie z Syberii. Matko Boska Kołymska!  
Zegary biją osiemnastą. Varadinski most. Rusin Toma idzie do pracy.  
Nigdy się nie spóźnia. Otwiera, kiedy chce. Na Jovana Suboticia ma schowaną knajpę.  
Ani jednego szyldu. Żadnej wskazówki. Gdyby ktoś pytał – to lokal prywatny.  
Kiedyś miało tu być przedszkole. Na ścianach kwiatki, grzybki, uśmiechnięte słoneczka.  
Przy stolikach strudzeni Rusini. Milczą  
i z zadartymi głowami patrzą w zawieszony pod sufitem telewizor z zepsutym głośnikiem.  
Nieme obrady. Parlamentarzyści Wojwodiny. Widać, jak otwierają im się usta.  
Biją wzrokiem w szkło. Ryby po obu stronach akwarium.  
Bulevar Oslobotenja. Serbski bastion.  
W przenikliwym zapachu smażenia, pod ladami kantorów i rzeźników, za teatralną wylewnością,  
po drugiej stronie przerysowanych gestów z tureckich seriali, w bezdechu donośnego rozgadania,  
między zębami zwarto-wybuchowej wulgarności, w klatkach  
prężnych ciał sportowców i pod makijażem porno-studentek, w kieszeniach luźnych dresów  
kryją się ziarenka rozpaczy. Nic to, że rozsadza ich ikra,  
ich – ikony trójjedyniej płodności, jędrności i tężyzny. Przenikliwe oko kamery widzi, że są chorzy.  
Zalągl się w nich i bezobjawowo rośnie bakcyl wkurwienia.  
Hodują w sobie uśpioną eksplozję bezradności, potencjalne akty bezsensownej agresji.  
Mrowią się, a snują. Krzyczą, a kwilą. Kochają życie, a mają go dość.  
Moralnie udręczeni, zmordowani krzywdą dziejową robią dobrą minę do straconej gry.  
Po zmroku zamasyżycie, a ostatkiem sił, piszą na murach ulubione hasło: Novi Sad srpski grad.  
Niepewność siebie przenoszą na słowa, w literaturę, wciąż naiwnie wierząc,  
że w jej mocy jest nieśmiertelność. Serbowie,  
Rusini, Węgrzy i Słowacy. Tak w Nowym Sadzie krystalizują się narody.  
Od południa idzie burza, niebo drze się jak stare prześcieradło, grzmi.  
Pociąg mija Petrovaradin i wjeżdża do miasta, które mu ktoś wymyśla.  
Wpadając na żelazny most, gra metalową melodię: ty-dyt-ty-dy,  
ty-dyt-ty-dy. Awangarda.  
Najpierw wszystko widać z lokomotywy. Dalej rośnie zmierzch.  
Po Dunaju suną puste barki, piękne metafory  
bez ziarenka treści.  
Trzeba to zapisać, myśli ktoś.

## 2. ćwiczenia z rozpaczy

Jesień, jesień.

A właśnie, że nie, bo wiosna, o!

Rozkwit wszystkiego, rój, życie.

A ci? Ci swoje. Oni tego opiewać nie będą.

Im bliższy smutek na wodzy, tania rozpacz, jak pisał Poeta.

Karmią ją sumiennie. Milczą nad kuflem bez piany.

Smakują gnioty melancholii.

Schowani po ciemnych knajpach i piwnicach.

Ćwiczą jesień, choć ciepło na dworze.

Błoga beznadzieja, wątpliwe objawienia i pluszowe smętki.

Obracają je w dłoniach jak zimne papierosy. Taki żar ich cierpienia.

Siedzą pod ziemią. Czekają, aż przejdzie im wiosna, szczyt lata, radość i beztroska.

Martwią się na zapas w słojach grubych ciuchów.

Obciążają serca, mnożą masę bytu.

Lekki ból ich łechce jak zepsuty ząb.

Mówią: oswajamy mrok. Jasne. Ze świeczką w ręce, dwa kroki w głąb kibla.

Szukają wartości łączących. Drażą dziurę duszy, lęk przed przemijaniem.

Oni, treserzy bezbolesnego umierania,

tokarze drewnianego strachu,

popętniają noc.

I wstają. Otrzeputają spodnie. Wychodzą.

W bramach nabierają wiatru w usta.

Płyną przez miasto. Zawsze patrzą w bok.

Panicznie boją się wpierdalu.

Wracają do domu. Do żon, matek,

kochanek czy suk.

Nie potrafią się wystowić. Po południu

jadą do Carefoura.

### 3. pies

Rano szedłem przez zaspane miasto.  
Nad rzeką tłoczyły się mgły.  
Widoczność jak w śmietanie.  
Powietrze gęste, a puste.  
Naddunajski deptak, mróz.  
Tu i ówdzie wiatr turlał przede mną papierki, drobne śmieci.  
Przecinały mi drogę jak jakieś małe zwierzątka.  
Ludzi nie było,  
tylko pies, kundel bury.  
Wyłonił się z tumanów.  
Siedział na krawędzi chodnika wsparty na przednich łapach i drżał z zimna.  
Zbliżyłem się, ani drgnął. Jak w hipnozie.  
Minąłem go, odwróciłem głowę, a on dalej patrzył przed siebie.  
Na drugi brzeg, którego przecież nie mógł widzieć. W nic.  
I co?, pomyślałem. I nic.  
Nic właśnie!  
Tyle mi pokazał.  
Przestraszyłem się. Głupio, bo śmierci. Jak nigdy dotąd.  
Chciałem zawyc z bezsilności. Za niego, za siebie.  
Naprzężony pies, szkliste ślepie, czcza wierność,  
epifanie bez świadków.  
Po co? Komu?

#### 4a. życie to nie czasownik. północ

Hurgot spuszcanych żaluzji.  
Kuszyk, kuszyk – sznur dreptów spod klatek.  
Wieczorne pogwarki pod falami blachy.  
Powlekane gumą walonki z wojłoku.  
Tup, tup i mlaski o śniegowe ciapy.  
Z tyłu maszty drzew, struchlałe chorągwie konarów.  
Dalej kominowe grzejnie.  
Huta, bijące zeń wary.  
Wysokie niebo, zima, dźwięczny mróz.  
Za wiatą szurgot szuflowanych trocin, cięcie.  
Szkarał krwi, tuneliki w puchu, ślad skończonej pracy.  
Klekot kół, osiołek i za nim furmanka.  
Ostatnie czynności przed bezludnym snem.  
Wgniecione miękkie serca z aluminium.  
Spękane skorupy głów, niebem okładanie czół.  
Gwiazdy jak małe dziurki w reklamówkach.  
Archipelag procentów i zer.  
W górę rozwarte szczęki, hausty w kudłate gardła.  
Kłaskanie fal o gładki zrąb studni.  
Oczy w słup, dygot tęczówek w cieśniach wiek.  
Cmokania, bulgot w wąpiach, marsze w kiszkach.  
Niedźwiedzie papachy z półkolistym dnem.  
Drelichowe kufajki na watolinie.  
Pikowane ciepłe spodnie, tielogrejki.  
I nagie ciała pod słojami szmat.

Wśród nich wyziębła para kobiecych ud, ramion.  
Skóra blada, jędrna, wysyp cętek pieprzu.  
Wiotki stan, biust opięty kurtką.  
Oczy piwne, złote loki w czub.  
Jej palenie, szelest folii, nagły zryw staniolu.  
Obok on, machorka z kapciucha, wtyka palec w gilzę.  
Martwe włosy wskrzeszane na pożyczkę.  
Pierzaste strzępy zdań, równoległy dym.  
Butem żar zgaszony w brei.  
Spojrzenia przed siebie, ciche szmery z płuc.  
Brak wyjścia naprzeciw.  
Przeciwsobne wydechy.  
Przeciwieństwa słów.  
Przeciwskurcze serc.  
50°3'9"N  
Klimat umiarkowany.  
Drewno dni, wiąz.

#### 4b. życie to nie czasownik. południe

Terkot budzików w ciemnych mieszkaniach.  
Okiennice rozkładane na dzień jak beczynne ręce.  
Upalne rano, wąska uliczka, rys Śródziemnomorza.  
Piętrowe domy z białego kamienia.  
Wysoki połysk gładkiego bruku, jaskrawe światło z boku.  
Między łbami kotów lśniąca struga pomyj.  
Kuta brama opleciona bluszczem.  
Blady mężczyzna w ciemnych okularach oprawionych w złoto.  
Pod zawleczką krogulczy paznokieć.  
Pstryknięcie, odbijanie.  
Młask blaszki na wieku.  
Syk powietrza, świst zadowolenia.  
Ślizg zroszonego czoła, lep na chaber nieba.  
Spod powiek ledwie widoczne źrenice.  
Pierwszy pociąg tyków, skoczny taniec grdyki.  
Wytchnienie, głębszy oddech, ulga.  
Dźwignięta ku górze podeszwa sandała.  
Chrzęst miażdżonego aluminium.  
Na mchu fugi puszka obrócona wniwecz.  
I tani papieros z kraciastej kieszeni.  
Obok piękna kobieta w karminowej sukni.  
Szyfon trzeszczący na okrągłych biodrach.  
Głęboki cień pod linią piersi.  
Na głowie rudy kłęb płomieni, gęste loki ognia.  
Wargi pulchne, natłuszczone szminką.

Spojrzenie wierne okadzonej ręce.  
W dłoni tafla popielniczki.  
Suw prosto pod peta.  
Tytoniowe chmury, siwe mgły wplątane w bluszcze.  
Żar i dym. Na szkle zgnieciony niedopałek.  
Stłumiony bek.  
Łój i słońce w przylizanych włosach.  
Ku morzu zachód dwojga mętnych oczu.  
Ku oczom wschód tęskno uchylonych ust.  
Jednostronne bicie serc.  
Podzwrotnikowy bez.  
Bezczynny gorąc.  
Bezpłodny dzień.  
Bezdzienna cisza.  
40°4'0"N.  
Równoleżnik zdania.  
Gęsta zawiesina.

## 5. fabryka chleba

Staruszka i staruszek idą w dół rzeki.

Wyprzedzają ich barki, ryby, woda gnająca na ślepo.

Tylko wędkarze stoją w poprzek. Okoniem w bieg rzeczy.

Staruszka i staruszek wsparci o lasce z siebie

w tyle zostawiają miasto. Suną ku delcie.

W górę śmiga motorówka, na moście huczy towarowy, ktoś wjeżdża,

a oni wytrwale tupają w stronę ujścia.

Nagle kanał

drogę im przecina i urywa się brzeżny deptak.

Gdyby było inaczej, doszliby do końca.

Doszliby.

Ale przy fabryce chleba muszą zawrócić.

Dunaj płynie dalej.

Uparci wędkarze w skupieniu zastawiają sieci, jakby czaili się nie na ryby,

a chwile. Bezskutecznie.

Woda przecieka im przez oka. Przejścia nie ma.

Staruszka i staruszek wracają do domu.

Jak umrą zatem?

Czy umrą w ogóle?

## 6. nowe sady

Jesteś w samym środku foremnej figury.

W sześcioboku dworca, potężnej bryle oszczanej z dwu stron, symetrycznie.

Osią jest aleja. Jak strzała przebija ciało miasta. Mknie prosto do Dunaju.

To Bulevar Oslobotenja, promień postępu. Socrealizm.

Zbieżna perspektywa. Zez Tity.

Dalej wyrastają góry, nieregularne, ale to się zmieni.

Natura – nie człowiek, bywa wadliwa. Poprawimy.

Ale zanim, na fasadzie: NATO nie, UE nie.

Perełki w betonowej koronie. Dane z wizytówki albo

karty pacjenta. To miejsce, stacja wypadkowa,

kryje uciekinierów. Grzeją się wzdłuż ścian pod kaloryferami. Kalecy

na wózkach, dyspozytorzy bezruchu. Kolej przyszła na nich, nie muszą się trudzić.

Plują pestkami słonecznika.

Sieją nowe sady. Próżno,

bo z kamiennej posadzki zdziobują je gołębie.

Pułki gołębi, całe ławy.

Gołębie niepokoju.

Są wszędzie.

Blokują kasy.

Nie możesz stąd wyjść.

## 7. bez słów

Mamie, Mamerce

I dalej jest jesień,  
choć już dawno powinna nastać zima,  
pokryć miasto śniegiem,  
idealnie zabielić ulice i place razem  
z okolicznymi górami i przełęczami,  
zrównać w prawach całą przestrzeń,  
każdemu jej spłachetkowi nadać to samo znaczenie,  
a raczej go pozbawić, wymazać z ziemi treści  
czy też zamieść je pod siebie,  
ukryć pod miękkim gieżłem płatków,  
z książek wykurzyć litery,  
słowniki zmienić w bloki rysunkowe,  
kartki pod faliste pejzaże,  
wszystko równomiernie pokryć puchatym,  
gęstym i grubym dywanem niewinności,  
uwolnić od przekleństwa sensu,  
od imperatywu nadawania i odczytywania znaków,  
od donkiszoterii logiki.  
Ale zima nie nadchodzi.

W oknie mam Przesieki.  
Idziemy na górkę Bolińskich,  
siadamy na trawie, patrzymy na jezioro,  
kładziemy się, leżymy, widzimy, jak granatowieje niebo,  
wszystko ciemnieje, na górze wyświetla się rój migotliwych punktów,  
kolejny raz pada maksyma, że niebo gwiaździste nad nami,  
dźwigamy się z ziemi, stajemy na nogach,  
otrzepujemy z siebie grudki roślin, schodzimy na polną drogę,  
przy domu leśniczego mijamy trójkątny rynek,  
potem w lewo, wzdłuż jeziora do domku na palach,  
widzimy go z daleka, przebija zza drzew nad strumykiem,  
za firankami tli się pomarańczowe światło,  
w środku krząta się Mamerka,  
przed wejściem tupiemy kaloszami o zdeptane trawy,  
po dwóch drewnianych schodkach wchodzimy do przytulnego wnętrza.  
Tam połyka nas ciepła poświata.

Nie ma drugiej takiej rzeczy,  
która z równą skutecznością opierałaby się językowi.  
Tylko ona  
gra na nosie słowom.  
Bez niej nie istnieją, ona bez nich owszem.  
Zapisana ściana nie do przejścia.  
Udziela im siebie, ale nie pozwala się przeniknąć.  
Mówienie o niej jest jej zaprzeczeniem,  
gonitwa za odpowiednią dla niej metaforą –  
wierzganiem przeciw ościeniowi.

Dlatego czasem warto myśleć bez słów.  
Albo w ogóle nie myśleć, tylko słuchać,  
jak rośnie. Cisza.